

# GAZETA POLSKA



STREFA WOLNEGO SŁOWA

**190 lat** „Gazety Polskiej”



„Gazeta Polska”

Dodatek pod redakcją

**Agnieszki Kowalczyk**

*wobec przemian cywilizacyjnych*

”

„Gazeta Polska” w okresie międzypowstaniowym podjęła na swych łamach istotny dla całego społeczeństwa problem przemian cywilizacyjnych, które niósł ze sobą wiek pary i elektryczności. Polem obserwacji procesów modernizacyjnych uczyniła kraje dynamicznie się rozwijające, jak Anglia, Francja i Stany Zjednoczone. Przekonywała, że zmiany są nieuchronne i nie mogą ominąć ziem polskich pod zaborami. Dlatego jej misją stało się odpowiednie przygotowanie Polaków zarówno w sferze ekonomicznej, jak i moralnej, na nadejście nowej epoki cywilizacyjnej. Miała im uświadomić, że stary szlachecki świat będzie powoli odchodził w przeszłość, ustępując miejsca nowym stosunkom społeczno-ekonomicznym. W związku z tym gazeta odkrywała przed czytelnikami wszystkie pozytywne i negatywne zjawiska towarzyszące przeobrażeniom cywilizacyjnym. Dawała do zrozumienia, że Polacy muszą czuwać, by wchodząc w nowoczesność, nie utracili tego co najcenniejsze – narodowego ducha i wartości chrześcijańskich, które od zarania dziejów stanowiły esencję polskości. „Gazeta Polska” stała się więc przewodniczką dla narodu w trudnej drodze modernizacji kraju, a za swój cel uznała ukształtowanie nowoczesnego społeczeństwa wspierającego się na tradycyjnym systemie wartości.





Poszukiwacze złota z Kalifornii

„Pójdź do Ameryki, a w jednym roku odrzucisz przesady i nie powstydzisz się żadnej pracy. Ileż to Polaków, co w Polsce byli pieczeniarami, prowadzili wygodne życie cudzym kosztem, mimo pogardy społeczeństwa i ciągłego ubóstwa, zaczęli swój zawód w porcie Nowego Yorku, znosząc towary ze statków, a dziś krocioowymi są panami. Ileżby kraj nas zyskał, gdyby miał takich ludzi do pracy.



Reklama morskiego transportu do Kalifornii z okresu gorączki złota



„Duch odkryć  
jest żywiołem  
Amerykanów”

XIX-wiecznych Polaków zafascynował Nowy Świat, a zwłaszcza będące symbolem nowoczesności Stany Zjednoczone. To młode i prężnie rozwijające się państwo, dzięki wkroczeniu na drogę postępu technicznego, z dnia na dzień przeobrażało się w potęgę gospodarczą.

**D**uch odkryć jest żywiołem Amerykanów – pisała „Gazeta Codzienna” (pod tym tytułem „Gazeta Polska” wychodziła w latach 1831–1861) w pierwszym numerze z 1854 r., kreując wizerunek współczesnego Amerykanina jako człowieka twórczego, z natury pragmatycznego i pomysłowego, energicznie wkraczającego w sferę nowoczesności. Świadczyć miała o tym chociażby historia maszyny do szycia – amerykańskiego wynalazku, „odkrytego powtórnie” przez przemysłowego Jenningsa, o czym ze swadą pisze popularny wówczas polski publicysta Piotr Furman: „Amerykanin Jennings nabył przypadkiem kupę żelastwa. Rozpatrując takowe, natrafił na jakiś sprzęt dziwacznej kształtu, rozdrobniony na części, którego użytek był dla niego zagadką. Niezrażony jednak próżnymi usiłowaniami, odłożył dalsze poszukiwania do wolniejszej chwili i nie przestawał sobie łamać głowy nad zadziwiającym narzędziem, które mu ciągle leżało na oku. Wtem przypomniał sobie, iż 15-cie lat temu, ktoś odkrył w New-Yorku maszynę do szycia; z uwagą więc rozpatrzywszy swój nabytek, przekonał się, że to była owa znakomita maszyna. Otóż poprawił ją, wydoskonalił i puścił w obieg publiczny” (GC 1 I 1854, nr 1). Amerykańskim odkryciem okazała się też maszyna do golenia pomysłu Williama Joksohna. Przypominała ona krzesło z czasów średniowiecza, na którym zasiadał go-

lący się, a urządzenie wprawione w ruch pod wpływem jego ciężaru, goliło lepiej niż niejeden cyrulik, uzbrojone w dwa cylindry z czterema brzytwami i pędzel. Amerykańska pomysłowość zdawała się nie znać granic, gdyż ów praktyczny wynalazek połączony został z niewielkim aparatem, który „w czasie antraktów golenia wygrywa motywy oper”. „Rozkoszy co nie miara! Słowem jesteś odziany, obuty i ogolony, z towarzyszeniem muzyki i to wszystko przez maszynę. Bóg zapłać Amerykańczykom!” – z pewną dozą humoru oceniała tę nowinkę techniczną „Gazeta Codzienna”.

## Amerykanie to dobrzy pracownicy

„Gazeta Codzienna” przekonywała, że dynamiczny rozwój gospodarczy zawdzięczali Amerykanie przede wszystkim swej niekwestionowanej pracowitości. Nasz korespondent wysłany do Nowego Jorku w 1860 r. podzielił się swymi spostrzeżeniami, odślawiając istotę amerykańskiej filozofii pracy – jej organizacji, tempa, wydajności, indywidualnego podejścia pracowników do swych zadań i stopnia ich zaangażowania. „Często mi się zdarza słyszeć mówiących Polaków w Ameryce, »gdybym tak był pracował w Polsce, to bym sobie już majątek zebrał« – rozważał zasłyszane opinie dziennikarz, próbując wnikać w mechanizmy, które zdecydowały o sukcesie gospodarczym mieszkańców Nowego Świata. Jednym z najważniejszych czynników okazał się normowany czas pracy wynoszący zwykle 10 godzin – od 7 do 12, a po przerwie, od 13 do 18 – który można wydłużyć w razie potrzeby za dodatkowym wynagrodzeniem. Jak wynika z artykułu, Amerykanin idzie z duchem czasu i wykorzystuje do pracy maszynę, która jest w stanie wykonać w jednym dniu tyle, co z trudem stu ludzi w tydzień. Ale i amerykański pracownik działać może z szybkością równą maszynie, gdyż godzina liczy u niego 40 minut! Na koniec korespondent w oryginalny sposób porównuje efektywność pracy Amerykanina i Polaka:

„Przypatrz się tylko polskiemu murarzowi – patrz jak on tam stoi przy ceglach, które ma użyć [do] stawiania muru, patrz jak on wprzódki melancholicznie trzy razy opatrzy cegłę, potem dwa razy obróci, potem nałoży fajkę, potem podniesie cegłę, potem przywoła chłopca z wapnem i sześć razy obróci, i potem znów cegłę ogląda, potem trzy razy obróci, aż póki ją położy, a po dokonanym dziele znów fajkę nałoży. Ten sam murarz w Ameryce w tym samym czasie położy dziesięć cegieł lub kamieni. Dom murowany postawiony zostanie w Ameryce we dwa tygodnie, w Polsce potrzebuje dwa lata. Ale bo też tutaj dzieje się inaczej, jak o tym macie wyobrażenie [...]. Na przykład chcąc postawić piec, musisz pójść do kupca i kupić piec, potem do murarza i kupujesz kamień, który ledwo za osiem dni otrzymasz, potem u blacharza obstalujesz rury, potem przychodzi murarz, by wybić dziurę, potem przychodzi blacharz, by rury wstawić, potem murarz wmuruje rury. Musi iść śpiesznie praca, aby zapalić w piecu za 6 tygodni. W Ameryce idziesz po prostu do sklepu, wyszukujesz piec, a w godzinę stoi zupełnie gotowy w twoim pokoju”.

Przeniesienie tych obserwacji na rodzimy grunt prowadziło dziennikarza do oczywistego wniosku: to my Polacy powinniśmy się jeszcze wiele nauczyć od mieszkańców Nowego Świata, dla których praca wykonywana z pasją i przejęciem zasługiwała na najwyższą ocenę, a „człowiek zatrudniony” na najwyższe uznanie, bo jego wysiłek stawał się dźwignią rozwoju kraju: „Pójdź do Ameryki, a w jednym roku odrzucisz przesady i nie powstydzisz się żadnej pracy. Ileż to Polaków, co w Polsce byli pieczeniarami, prowadzili wygodne życie cudzym kosztem, mimo pogardy społeczeństwa i ciągłego ubóstwa, zaczęli swój zawód w porcie Nowego Yorku, znosząc towary ze statków, a dziś krocioowymi są panami. Ileżby kraj nas zyskał, gdyby miał takich ludzi do pracy. [...] Mało jest w Ameryce ludzi powołań, lecz są ludzie zatrudnienia miłujący pracę, która jedynie stanowi źródło bogactwa każdego kraju” (dodatek do „Gazety Codziennej”: „Gazeta Rolnicza, Handlowa i Przemysłowa” 1860, nr 20).

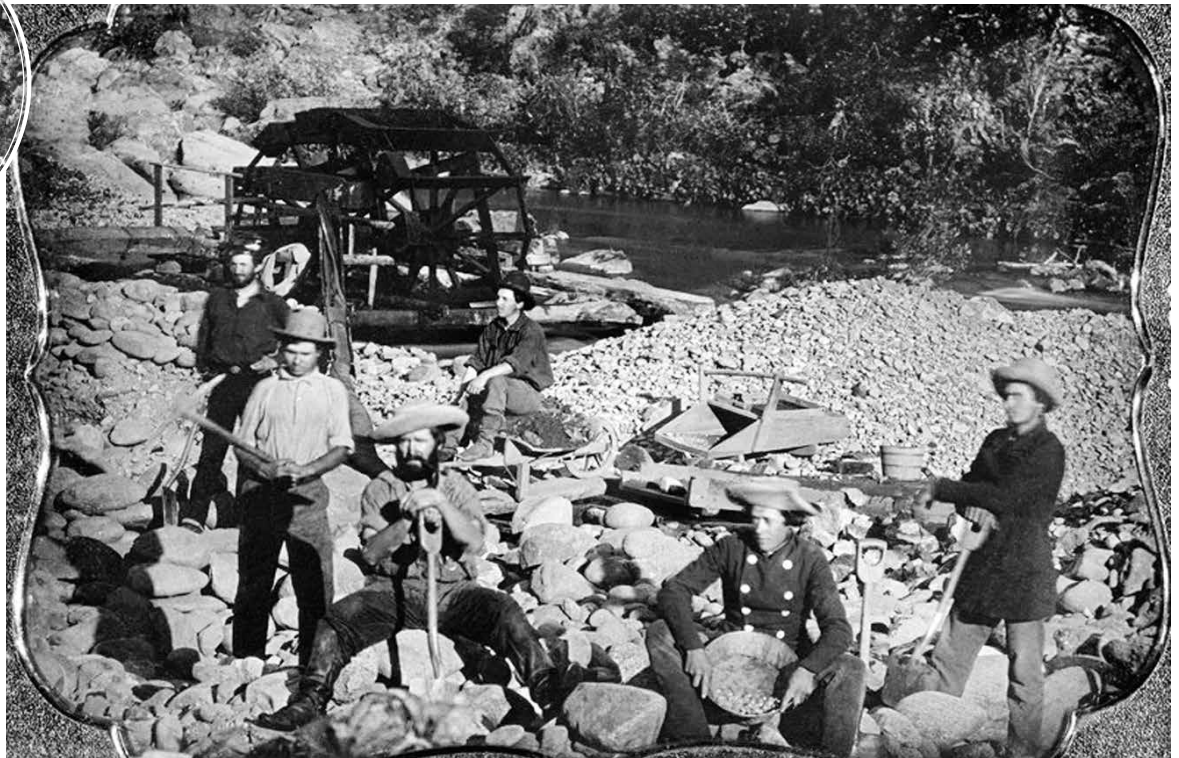
## Gorączka San Francisco

Polacy z zapartym tchem śledzili za szpalt „Gazety Codziennej”, w jak oszałamiającym tempie rozwija się Kalifornia – dziś najbogatszy i najludniejszy z amerykańskich stanów. Gdy w połowie XIX wieku odkryto złoto



„Gazeta Codzienna”, drukując relację pewnego Francuza, przynosi czytelnika w sam środek San Francisco, by mógł przyjrzeć się z bliska dynamicznym procesom urbanizacyjnym. Ich źródłem stało się złoto i ponadludzki wysiłek tysięcy Amerykanów, którym niestraszne było żadne wyzwanie, choćby nawet „wrzucanie w morze gór” czy wzniesienie w tydzień całej dzielnicy domów:

„[...] trudno utworzyć sobie jakieś pojęcie temu, kto nie widział, a raczej nie widzi San Francisco, bo kto go widzi dziś, to nie poznałby go jutro. Ludzie i domy zmieniają miejsca, od świtu snując się i rojąc po ulicach jak mrówki w mrówniku. Przypuśćmy, że przechodzi się rano przez miejsce zarosłe niskimi krzakami; przyjdzie wieczór, a zobaczycie z jakie pięć lub sześć domów nowych, albo przywiezionych z innych części miasta. Pieniądze (to jest złoto, bo tu innych pieniędzy nie mają) [...] poruszają się jak ludzie, przechodzą z rąk do rąk z szybkością, za którą Europejczykowi trudno postępować. Co się tyczy Amerykanów, [...] widzą i robią rzeczy nadzwyczajne, olbrzymie, jakie tylko zdołamy sobie wyobrazić [...]. Obudziwszy się rano, spojrzawszy na lewo, i z zadziwieniem spostrzegłem, że nie ma góry, którą przed tygodniem w tej stronie widziałem. Gdzieżby się góra podziała? Pięciu czy sześciu Amerykanów kupili ją i wrzucili w morze, dlatego, aby się dostać do dobrej ziemi. W tym miejscu morze było niezbyt głębokie, zawalił więc je na cztery lieu. W tydzień na tym miejscu było już nadbrzeże, stało 150 nowych domów i magazynów, a 20 lub 25 okrętów wyładowywało swoje towary. Zdziwieni [...] Francuzi podziwiali [to] z założonymi rękami. ... a Amerykanie zyskiwali 5 do 6 milionów!” („GC” 1855, nr 79, s. 4).



Kalifornijska gorączka złota

i rozwojem wszelkiego rodzaju instytucji. Z „Gazety Codziennej” dowiadujemy się, że miało tu swe siedziby 16 kampanii ogniowych, 5 organizacji charytatywnych, 4 instytucje naukowe, towarzystwo gazowe, 60 biur adwokackich, 17 towarzystw żeglugi parowej i 25 zagranicznych konsulatów. W roku 1855 San Francisco posiadało już 19 wielkich kościołów i 12 mniejszych, 2 synagogi, 2 chińskie świątynie, 12 księgarni, 6 teatrów, a wszystko to z przeznaczeniem dla 50 tys. mieszkańców. Brakowało wprawdzie uczelni wyższych, ale każda z dzielnic miała własną bezpłatną szkołę. Łącznie było ich 20, a naukę pobierało w nich 3 tysiące dzieci. Podziw budziły zadbane ulice, wykładane ciosowym kamieniem i dobrze oświetlone. Miasto nie należało jednak do najbezpieczniejszych. Zabójstwa były tu na porządku dziennym, a ich ofiarą w roku 1848 padło aż 10 tysięcy osób. Często zaś przypadki rozbojów i rabunków sprawiły, że władze zdecydowały się wybudować więzienie, przeznaczając na ten cel aż 130 tysięcy dolarów.



## Cała prawda o micie złotej Kalifornii

Kalifornia, licząca w 1855 r. 330 tys. mieszkańców, to prawdziwy tygiel rozmaitych ludów i kultur, współtworzony przez 200 tys. Amerykanów, 25 tys. Niemców, 25 tys. Francuzów, 25 tys. Chińczyków, 20 tys. Indian, 2,5 tys. Negrów oraz 10 tys. przedstawicieli innych narodowości.

**D**o Kalifornii przybywali przede wszystkim ludzie, którzy chcieli zdobyć fortunę, zaspokoić marzenie o awansie społecznym i odmienić swoje życie, co było nieosiągalne na Starym Kontynencie. Przybywali ogarnięci „gorączką złota”, która trawiła ich od środka i łądziła pragnieniem szybkiego zarobku, lecz zarazem wypalała wewnątrz. Miało się tu spełnić marzenie tysięcy o lepszym losie, o wspaniałej przyszłości bogatego posiadacza ziemskiego czy obrotnego przedsiębiorcy zarabiającego krocie. Niepokojącym zjawiskiem społecznym wydał się jednak autorowi re-

lacji brak wśród Kalifornijczyków prawdziwej wiary, szczerzej religijności wypływającej z potrzeby serca, bo chociaż świątyn tu nie brakowało, to w istocie przychodzono do nich tylko dlatego, że tak nakazywała tradycja i względy konwencjonalne. Wyjątkiem w sferze aksjologicznej to wysoka cena, jaką zapłacono za oszalałymi tempem rozwoju. Budowano tę cywilizację na kruchych fundamentach – w oderwaniu od wartości duchowych, a w oparciu o potęgę pieniądza, który stał się bożyszczem kalifornijskich osadników.

## Liczy się tylko jedno

Nie straciła więc zapewne na swej aktualności wypowiedź XIX-wiecznego Europejczyka szukającego przed 160 laty szczęścia w Kalifornii („GC” 1853, nr 173). Ujawnia ona uniwersalne mechanizmy ludzkiego zachowań i odwieczne pragnienie ucieczki do lepszego świata. Odślania mit złotej Kalifornii i kreśli sylwetki ludzi, których codziennym pokarmem nie był chleb powszedni, lecz złoto – przelicznik wszystkiego i cel życia ówczesnego Kalifornijczyka.

Sam autor listu dał się wciągnąć w ten proceder robienia pieniędzy, który pochłonął go, pozbawiając wyższych celów i pragnień duchowych. Chociaż w pożarze miasta stracił cały swój kapitał (ok. 6 tysięcy franków), zachował zimną krew w nieszczęściu, postępując racjonalnie, mając się każdego zajęcia, by jak najszybciej dojść do pieniędzy. „W cztery godziny później – pisze – kopalem ziemię dla rozłożenia namiotu mego przyjaciela, który za to zaproponował mi nocleg. W pięć godzin przybijałem deski przy budowie domów dla Amerykanów. W czasie pożaru w kwadrans zarobiłem 50 fr., pomagając przewozić towar pewnego kupca [...]. Umiałem obchodzić się z bronią; tydzień chodziłem więc na polowanie. [...] W pewnej kawiarni ofiarowano mi miejsce, za wynagrodzeniem, 60 piastrow [...] miesięcznie ze stołem. Przyjąłem chętnie tę propozycję, myłem naczynia, przyrządzałem jedzenie, obsługiwałem gościom, słowem, robiłem wszystko co tylko było potrzeba. Cały miesiąc uczyłem się po nocach angielskiego języka. Wstawałem o szóstej rano (wstawać rano nie było mi trudno, bo spałem w odzieniu na podłodze lub na dwóch krzesłach, stosownie do wyboru), pracowałem do drugiej po północy, tak dzień po dniu. Było to męczące [...]. Przez pięć dni pomagałem Amerykanom zrzucić górę z morze, wszystkich nas było około 150 ludzi. Żelazem i prochem odrywaliśmy kawały skał, wielkości domów. Dwóch ludzi było zabitych a czterech raniomych, ale nic. Nie przestawaliśmy ani na minutę. Pobierałem 12 fr. 50 cent dziennie, opuściłem wkrótce tę pracę i pomogłem wyładowywać okręt”. Autor kończył swoją wypowiedź konkluzją godną zapobiegliwego dorobkiewicza, który wie, z kim najlepiej opłaca się robić interesy: „Tu można sobie zebrać majątek, ale trzeba być Amerykaninem. Francuzi są tu niebogaci, nieprzedsiębiorczy i nawet nie szczytają się poszanowaniem [...]. Z nimi majątku nie zbierzesz”.

w okolicach San Francisco, do Nowego Świata zaczęły napływać tysiące jego poszukiwaczy, ludzi zapobiegliwych i przedsiębiorczych, choć także rozmaitych awanturników liczących na łatwe zdobycie olbrzymiej fortuny. Wówczas to Kalifornia ogarnięta „gorączką złota” przeobraziła się w przestrzeń wielkiego eksperymentu cywilizacyjnego, którego symbolem stała się nagła metamorfoza San Francisco – z niepozornej osady w nowoczesną metropolię. Jej dokładny opis odnajdujemy w „Gazecie Codziennej” (nr 79) z 1855 r. „Nie ma drugiego miasta w północnej Ameryce, które by w latach ostatnich tak gwałtownemu przeobrażeniu i powiększeniu uległo jak San Francisco” – brzmi zapowiedź treści artykułu odślaniającego przestrzeń miejską, w której dokonano „herkulesowych przedsięwzięć”. „Długie szeregi pięknych, granitowych i z piaskowego kamienia budynków europejskiej struktury ciągną się nad brzegami wody. Wille pokrywające przestrzeń od 3–4 mil angielskich ze swymi czarodziejskimi ogrodami, tworzą niejako raj, w roku 1847 założony. Takie wypadki wymagały herkulesowych przedsięwzięć. W skałach pokopano ulice, pozawieszano na ich pochyłościach domy jak ptasie gniazda”. Dumą miasta stał się szpital marynarski na Rinco Point, którego wystawienie kosztowało rząd astronomiczną sumę przeszło 174 tysięcy dolarów. Ale San Francisco mogło sobie pozwolić nawet na tak olbrzymie i kosztowne inwestycje, gdyż zaczęło aspirować do miana najbogatszego miasta na kontynencie. Jego dochody w okresie od 1 lipca 1853 do 30 czerwca 1854 roku wynosiły 950 tys. dolarów. Nie szczytowało pieniędzy na wciąż nowe inwestycje budowlane, toteż miasto rozrastało się w zawrotnym tempie.

Ten miejski kolos rozrastał się każdego dnia, imponując nowoczesnymi budowlami użyteczności publicznej





W fabrykach zatrudniano nawet 5-letnie dzieci

## Homo homini lupus

Mit złotej Kalifornii stał się również tematem powieści Aleksander Dumasa „Kalifornia. Rok pobytu nad brzegami San-Joaquin i Sacramento. Według opowiadania emigranta”, którą drukowała w odcinkach „Gazeta Codzienna” w 1853 r. Bohater książki, z pochodzenia Francuz, wyprawia się do amerykańskiego raj, by dorobić się tam fortuny. Postanawia zająć się handlem, mając świadomość, że poszukiwanie złota jest zajęciem trudnym i ryzykownym. Próba działania w grupie zwykle kończy się niepowodzeniem, gdyż zwycięża ciemna strona ludzkiej natury. Najpierw współtowarzysze – w dwudziestu lub trzydziestu – poprzysięgają sobie działać wspólnymi siłami, ale gdy docierają do placów, zapał nagle znika, każdy dba o własne interesy, a działaniu zaczyna patronować łacińska sentencja *Homo homini lupus*. Człowiek zaślepiony pragnieniem zdobycia złota staje się dla drugiego człowieka wilkiem.

Z pięćdziesięciu poszukiwaczy cudownego kruszcu zazwyczaj tylko pięciu lub sześciu, dzięki ogromnemu samozaparciu i wytrwałości, osiąga swój cel. Dla tych, którzy chcą podjąć się tego wyzwania i wyprawić do kopalni, nasz bohater ma kilka bezcennych rad: „1. Zapatrzyć się w żywność, amunicję i narzędzia na cały czas zamierzonego pobytu. 2. Zatrzymać się w jednym miejscu i osiąść w nim stale, jak tylko okaże się korzystnym. 3. Zbudować sobie wygodne schronienie, ażeby nie być wystawionym na rosy nocne i zimna poranków. 4. Nie pracować w wodzie w upał, to jest od 11 z rana do 3 po południu. 5. Na koniec wstrzymywać się od mocnych trunków i zachować regularne życie. Ktokolwiek nie zachowa tych ostrożności albo nic nie zrobi i zniechęci się, albo też zachoruje i według wszelkiego podobieństwa, umrze”.

## Szukać, grzebać, własnoręcznie zbierać drogi kruszec

Kalifornia z powieści Dumasa jest tym miejscem na ziemi, gdzie człowiek staje się na nowo niezapisaną kartą, jego „przeszłość powinna być zapomniana, stanowisko zajmowane w starym świecie powinno się ulotnić jak para”. Dlatego Dumas czyni swojego bohatera, szlachcica z Francji, sprzedawcą win, który gotów jest nawet zostać służącym w oberży. Deklasacja w starym świecie staje się awansem w nowym, bo o zajmowanej pozycji w San Francisco decyduje zasobność portfela. W „Kalifornii” Dumas, wiernie odbijającej ówczesną rzeczywistość amerykańską, syn para Francji zostaje przewoźnikiem, a szlachcic Tillier czeladnikiem rzeźniczym z płacą 100 piastrow. O ludzkim losie decyduje tu

W Kalifornii zastąpił Polak Feliks Wierzbicki – patriota, lekarz, podróżnik i pisarz. Już jako młodzieniec chwycił za broń, walcząc w powstaniu listopadowym, m.in. pod Grochowem i Ostrołęką. Po klęsce narodowego zrywu podzielił los żołnierzy internowanych przez władze austriackie w Galicji, a uwolniony po trzech latach z więzienia udał się do Ameryki. Pragnął zostać lekarzem i ten życiowy cel osiągnął już w Nowym Świecie. Brał udział w wojnie amerykańsko-meksykańskiej, a w Kalifornii osiadł na krótko przed wybuchem „gorączki złota”. Sam wyruszył na złotonosne tereny, nie tylko z myślą o znalezieniu cennego kruszcu, ale przede wszystkim chcąc poznać osobliwości tej dzikiej i odludnej ziemi oraz zachodzące na niej przeobrażenia społeczne. Zdołał szybko uznanie wśród poszukiwaczy złota jako ekspert w dziedzinie metalurgii i metaloznawstwa. Ta wyprawa krajoznawcza zainspirowała go do napisania książki o Kalifornii ogarniętej „gorączką złota”. Nosiła tytuł „California As It Is and As It May Be or a Guide to The Golden Region” (1849) i była pierwszą publikacją anglojęzyczną na tym terenie. Przynosiła opis całej Kalifornii z hiszpańskimi rezydencjami, tubylczymi plemionami Indian amerykańskich, portem w San Francisco i złotonosnymi obszarami. Była też pierwszym w dziejach poradnikiem dla poszukiwaczy złota i zawierała rozważania nad przyszłością tego regionu świata. Wierzbicki osiągnął sukces wydawniczy, jego książka doczekała się drugiej edycji, a całe jej rozdziały przedrukowywała prasa kalifornijska. Zdolny Polak był również czynny jako lekarz, specjalizując się w wodolecznictwie i uczestnicząc w tworzeniu pierwszego w Kalifornii Towarzystwa Medycznego w San Francisco, a jego eseje o historii medycyny ukazywały się na łamach czasopisma „California Journal of Medicine”.



zazwyczaj pieniądź, a od zdobycia milionów do całkowitego bankructwa dzieli człowieka tylko jeden krok. Chciwość, ryzykanctwo i hazard mogły doprowadzić na samo dno upadku: „Mieszkałem w pobliżu Polki i niedaleko Eldorado” – opowiada bohater powieści. „Byłem zatem w sąsiedztwie zniszczonych graczy i tych, którzy się z bogactwami; były to dwa oblicza ludzkie, płaczące i śmiejące się. Było to prawdziwe badanie filozofii praktycznej. Niejeden przybywający z kopalni przegrywał za 50 tysięcy franków sztab złota i przewracał swoje kieszenie, szukając, czy znajdzie nieco proszku złotego, ażeby wypić kieliszek wódki; a jeżeli go nie znalazł, pił na kredyt, zobowiązując się zapłacić, jak wróci z kopalni. Było coś okropnego w tych domach gier, w których grywano o sztaby złota, i gdzie stawkę wygrywającego wazono na szalach. Tam grywano o wszystko, o łańcuchy, naszyjniki i zegarki. Szacowano na traf, i zabierano stawkę podług szacunku”.

Nasz przedsiębiorczy w każdym calu bohater zaopatrzył się nawet w żelazną skrzynię, mającą mu posłużyć za ognioodporny sejf, w którym zgromadził pokątną fortunkę w wysokości blisko 5 tys. franków. Zabezpieczenia na nic się jednak nie zdały, gdyż wielki pożar ogarnął jego dzielnicę i pochłonął ów kufer z cenną zawartością. Pozostał z niego tylko „stalaktyt żelaza wielkości jaja” o powierzchni błyszczącej złotymi i srebrnymi żyłami, a więc spiż koryncki! A to kuriozum nabył od właściciela nieszczęsnego kufra pewien Anglik za 100 piastrow, by ofiarować je gabinetowi mineralogicznemu w Londynie.

Dumas w dość przemyślny sposób rozprawia się z cywilizacją kalifornijską budowaną na sztabach złota. Ośmieszając aspiracje przyjezdnych, którzy ulegli gorączce złota, a swego bohatera wysyła z powrotem do Francji, pozwalając mu spojrzeć po raz ostatni na zachodnie wybrzeża Ameryki. A widok ten przejmował niewypowiedzianym smutkiem. Była to bowiem ziemia bezludna, porzucona przez mieszkańców, którzy, chcąc odmieścić swój los, powędrowali do krainy złota, ulegając złudnemu przeświadczeniu, że odnajdą tam szczęście: „A zatem na ten odgłos: złoto – wszyscy rzucili się do placów, szukając jedynego środka zrobienia majątku – przez zbieranie złota. I każdy grzebał w ziemi narzędziami, jakie mógł zdobyć; jedni łopatom, drudzy motykami, inni oskardami, nawet szuflami piekarskimi. Byli nawet tacy, którzy nie mając narzędzi, grzebali rękami. Po czym tę ziemię płukali w talerzach, w półmiskach, w rondlach, w kapeluszach słomkowych. I ze wszystkich stron przybywali ludzie na koniach, rodziny w wozach, biedacy pieszo. I każdy zobaczywszy stosy złota rodzinnego już zgromadzone, dostawał zawrotu głowy, zeskakiwał z konia lub z wozu, i niezwłocznie zajął się grzebaniem w ziemi, nie chcąc tracić drogiego czasu. [...] ten szłał ciągle wzrastał. Ktokolwiek udawał się do San Francisco, to jedynie w tym celu, ażeby zostać kopaczem, szukać, grzebać, zbierać własnoręcznie drogi kruszec”.

## Jak zbić fortunę na... szpadlach i sitach

Zakończenie powieści stanowi swoiste studium miejsca i odsłania historię Kalifornii – niegdyś ziemi nieznaną i wzgardzoną, lecz od połowy XIX wieku najbardziej pociągającej ze wszystkich na świecie. Po zdobyciu San-Juan d'Ulloa, Meksyk ofiarował ją Francji, a gdy ta nie przyjęła daru, odsprzedał Stanom Zjednoczonym za 15 mln dolarów. Te zaś zdecydowały się na jej zakup tylko dlatego, żeby nie dostała się Anglii. Długi czas była „częstką globu” opuszczoną przez wszystkich z wyjątkiem koczujących tam Indian, misjonarzy i przybywających na jej wybrzeża awanturników. Dopiero rok 1848 przyniósł nieoczekiwany zwrot w dziejach Kalifornii i „rozdłos powtarzany na świat cały [...] brzmieniem – złoto!”. Amerykanie początkowo nie wierzyli w nowe odkrycie, pewni, że źródłem ich bogactwa będzie żywność i płodna ziemia kalifornijska. Pokazywano wprawdzie próbki złota pochodzące z okolicy nazywanej Widłami Ameryki, ale niejaki kapitan Folson stwierdził, że to tylko mika. Napływały jednak kolejne dowody potwierdzające prawdziwość znaleziska, którego dokonał John Marshall nad rzeką American, budując tartak dla Johna Suttera, szwajcarskiego imigranta usiłującego zrobić





interes życia na wielkiej farmie była w okolicach San Francisco. Stało się jednak inaczej. Sutter został właścicielem żyły złota. W „Gazecie Codziennej” czytamy, że „szał opanował mieszkańców miasta, robotników w porcie i majtków okrętowych” – wszyscy, chwytając za kilofy, ruszyli do słynącej ze złota ziemi pana Suttera.

Natomiast tajemnica złota znad rzeki American River rozniosła się dzięki Samowi Brannanowi, sklepikarzowi z Colomy. Zbił on fortunę nie jako poszukiwacz złota, lecz jako człowiek interesu, rzecz można, przebiegły spekulant. Otóż pojechał do San Francisco z wieścią, że u Suttera znaleziono złoto, a na dowód pokazał wszystkim w butelce złocisty pył, krzycząc na całe gardło: „Złoto, złoto, złoto z American River”. W ten sposób udało się Brannanowi zwabić w okolice Sierra Nevada niemalże wszystkich mieszkańców San Francisco i prawie połowę całej Kalifornii, nie mówiąc już o późniejszych przybyszach z Europy. Przedsiębiorczy Brannan miał wykupić wszystkie szpadle i sita w okolicy, by potem sprzedać je kilkadziesiąt razy drożej amatorom poszukującym złota, na czym zarobił 36 tys. dolarów!

Z „Gazety Codziennej” wylaniał się obraz cywilizacji amerykańskiej budowanej od podstaw przez tysiące osadników z Europy współtworzących społeczeństwo, które zrywało z przesądami stanowymi, a za najwyższą wartość uznało pracę. Ceniło nade wszystko przedsiębiorczość i kreatywność jednostki, a nie tytuły hrabiowskie odziedziczone po przodkach. Dlatego powszechnie sądzono, że właśnie tu, na ziemi amerykańskiej, można było, wykorzystując własną inwencję twórczą, zrobić zawrotną karierę od pucybuta do milionera. „Gazeta Codzienna”, przybliżając swoim czytelnikom mit Ameryki jako ziemi obiecanej, podjęła się równocześnie jego weryfikacji, usiłując odsłonić prawdziwe oblicze rozwoju cywilizacyjnego Stanów Zjednoczonych.



## Anglia

„straszniejszy daleko  
przedstawia obraz  
niebezpieczeństwa”

W latach 40. na Starym Kontynencie swój tryumf święciła Wielka Brytania jako mocarstwo rosnące w siłę pod względem gospodarczym dzięki największym osiągnięciom rewolucji przemysłowej.

### Zamieszki z udziałem czartystów



„Gazeta Codzienna” przyglądała się z uwagą fenomenowi jej rozwoju, stawała się nie tylko apologetką nowej cywilizacji technicznej, ale również dokonywała jej krytycznej oceny, uwzględniając ujemne strony procesu modernizacji.

### Ofiarnicy i ofiary

W wydawanych jako dodatek do dziennika „Wiadomościach Handlowych i Przemysłowych” z 1840 r. (nr 356–357) zamieszczone zostało niezwykle interesujące studium tego problemu rozpatrywanego w sferze socjologicznej i moralnej. Studium to zatytułowane „O przemysłowym wychowaniu w Anglii” zrodziło się w związku z powstaniem czartystów – angielskich robotników, którzy walczyli o prawa wyborcze i poprawę sytuacji ekonomicznej. Robotnicze rozruchy zburzyły idealny obraz nowoczesnego społeczeństwa Wielkiej Brytanii, pokazując, jak wysoką cenę płaci się za uprzemysławienie kraju i jak poważne zagrożenia ono ze sobą niesie.

„Anglia pod tym względem – czytamy w tymże artykule – straszniejszy daleko przedstawia obraz niebezpieczeństwa. Zmuszona postępować drogą kolosalnego przemysłu, ogólnego handlu i olbrzymich wywozów; zgromadza ona w pewnych punktach swojego kraju tysiące ludzi poświęcających się ręcznej pracy, jakiej wymaga ów przemysł”, by stali się jego „ofiarnikami i ofiarami”. Zagrożenia są następujące: albo człowiek zostaje wyeliminowany przez nowoczesną maszynę, której

„piston mosiężny zastępował 200 rąk ludzkich”, albo też staje się niewolnikiem maszyny, a porwany w jej trybny, z czasem upodabnia się do automatu, powtarzając bezwiednie te same czynności. „Gazeta Codzienna” przedstawia mechanizm dehumanizacji jednostki wrzuconej w niszczący ją fizycznie i psychicznie kołowrót pracy fabrycznej jako proces intelektualnej i moralnej degradacji robotnika: „Rzemieślnik rękodzielniczy zaledwie przestaje być dzieckiem, już go używają do pracy – w miarę jak się krzepi siła jego fizyczna, ta niszczy w nim siłę moralną. Nie ma on czasu do myślenia [...]. Codziennie robi jedno i jednym sposobem. Działa jak gdyby był dźwignią, kołkiem albo młotem; traci znamię człowieka; mniema się być kawałkiem kruszcu”.

### Nie ludzka, lecz zwierzęca natura

Egzystencja robotników to życie ludzi wydrążonych duchowo i pozbawionych wyższych wartości. W takiej też sytuacji znajdują się ich dzieci – wynędzniałe, chore, anemiczne. Już w momencie narodzin skazane są na ten sam los, co ich rodzice – na los ludzi-maszyn bez perspektyw na lepsze jutro: „[...] matka oddaje za pieniądze pod dozór najczęściej bezwzględny, wychudłe, nędzne i słabowite dziecko, jedno z tych okropnych dzieci, których tylko widzieć można w Lugdunie albo w Liverpoolu, a którego jest przeznaczeniem być z czasem rzemieślnikiem [...]. Każde więc dziecko zaledwie odchowane, staje się już użytecznym w miarę sił swoich, korzystają zaraz z słabych jego rączek, jak tylko te zdolne są poruszać szpulkę albo dźwignąć kowalski młot – nie masz dla nich ani momentu wolnego do nauki lub rozrywki – wszystkie chwile są zajęte – wielką zaiste jest rzeczą opędzić dzienne potrzeby życia, jedno mniej poruszenie, staje się ujmą jednego kęsa chleba – a kiedy dzień po dniu, godzina po godzinie, tak im chodzą niustannie, cóż robią w niedzielę i poniedziałek?”

Odpowiedź na to pytanie jest przerażająca. Okazuje się, że czas wolny od pracy wyzwała w ludziach-maszynach najciemniejsze instynkty, w pełni objawia ich nie ludzką, lecz zwierzęcą naturę. Oddają się wówczas szaleńczej zabawie, która niczym narkotyk upaja ich i na krótko daje zapomnienie, odrywa od bolesnej rzeczywistości. Zatracają się wówczas całkowicie w zmysłowych uciechach niczym starożytni podczas bachanaliów, poszukują rozkoszy w prymitywnych przyjemnościach, wyzbywając się ludzkiej godności: „Ci, co znają naturę ludzką i odwieczne jej prawa, wiedzą dobrze, iż potrzeba uciech i rozrywek gwałtownych dla tych nieszczęśliwych więźniów [...]. Członki znękaną pracą albo zeszytwniałe brakiem ruchu przez cały dzień, wyprężają się nagle, nurzają się w trunkach, i w opilstwie nabierają gwałtownej siły – po tej nikczemnej uczcie i zabawie, następuje 24 albo 48 godzin okropnego szału.



Thomas Hosmer Shepherd „Ulica w Londynie”, 1837





Pytania i wątpliwości o los ludzi z marginesu społecznego Paryża w dobie postępu cywilizacyjnego nurtowały przede wszystkim w latach 40. XIX wieku francuskiego pisarza Eugeniusza Sue. Jego powieść „Tajemnice Paryża” drukowana w odcinkach na łamach „Jurnal des Débats” (1842–1843) stała się światowym bestsellerem i wywołała wielkie poruszenie wśród czytelników, odkrywając mroczny świat paryskiej biedoty zamieszkującej dzielnicę Saint Denis i wyspę Cité. Autor książki sam w przebraniu przemierzał niebezpieczne zaułki stolicy, usiłując poznać realia życia wyklętych i wyobcowanych ze społeczeństwa, by móc jak najwierniej przybliżyć je czytelnikom. Bohaterem „Tajemnic Paryża” uczynił księcia Rudolfa de Gerolstein, który w stroju robotnika przeniknął do podejrzanego półświatka, a mógł w nim przetrwać tylko dlatego, że znał argot – język miejscowych i opanował sztuki walki wręcz. Ale i tu, na dnie nędzy, w czeluściach samego paryskiego piekła, odnalazł człowieczeństwo i pomógł upadłym odkryć w sobie na nowo godność ludzką. W ulicznicy Gualezie rozpoznał swą zaginioną niegdyś córkę Marię, a w zabijace Szurynerze odkrył serce i honor. Niesamowite zwroty akcji, cudowne rozpoznania, nieprawdopodobne „nawrócenia” budują sensacyjną fabułę powieści. Najważniejsze jednak jest przesłanie autorskie wyrażające sprzeciw wobec niesprawiedliwości społecznej, wobec odczłowieczania jednostki i nieludzkich warunków, w których zmuszona jest żyć. „Tajemnice Paryża» – pisał Umberto Eco – odbierane były przez współczesnego im czytelnika jako dzieło ujawniające straszliwe warunki społeczne, które, wraz z nędzą, prowadzą do zbrodni. Zmniejszmy więc nędzę, wspomóżmy opuszczone dzieci, wychowajmy na nowo więźnia, nie stawiamy pracowitego robotnika wobec widma długów, uczciwej dziewczyny wobec konieczności oddania się bogatemu uwodzicielowi, dajmy wszystkim szansę odkupienia, braterskiej pomocy, chrześcijańskiego wsparcia, a społeczeństwo stanie się lepsze. Cóż za szlachetne przesłanie!”

rzeczami, ale nawet pojmować uczuć szlachetnych, wzniosłych [...]. Co się tyczy ważniejszych spraw kraju, jakież w tym udział mieć może taki człowiek, którego ciągnęła jednostajność życia, niszczy w nim odwagę rozumu i pozbawia ciało potrzebnego ruchu”.

### Problematyczna modernizacja

Publicysta „Gazety Codziennej” ostrzegał przed poważnym niebezpieczeństwem, jakie groziło nowoczesnemu światu ze strony nieoświeconych mas robotniczych. Przybrało ono już konkretne kształty w Anglii, gdzie doszło do rozruchów czartystów. Autor demonizuje wręcz postacie zbuntowanych robotników, przedstawiając ich jako strasznych cyklopów, którzy znudzeni pracą i nędzą na głos podżegaczy zesłali z gór uzbrojeni w widły i motyki, by walczyć o swoje prawa. „Obdarzeni ogromną siłą fizyczną nie mają ani zasad, ani oświaty, ani hamulca”, co zdaniem autora studium stanowi uboczny efekt kształtowania się cywilizacji przemysłowej. W przeciwieństwie do większości entuzjastów postępu widział on też jego niebezpieczeństwa, pisząc, że: „przemysł zrodził nowe potwory, które grożą pochłonięciem onego”. Najbardziej groźny w ocenie dziennikarza jest materializm – skupienie się na produkcji rzeczy, a nie na kondycji ludzkiej. I nie chodzi tu o potępienie postępu technicznego, który stał się przeznaczeniem ludzkości. Cel artykułu jest inny – ma on uwrażliwić na niepokojące problemy procesu modernizacji, ma uświadomić skalę zagrożeń i przestrzec przed konsekwencjami ich bagatelizowania: „i przemysł dziś panujący zamiast ubóstwiania siebie samego, powinien być ostrożnym i zabezpieczyć się przeciw skutkom swego zwycięstwa”.

Jak można przeciwdziałać tym negatywnym zjawiskom cywilizacyjnym i jak skutecznie rozwiązać palące problemy społeczne? Angielska prasa za główny powód wybuchu powstania czartystów uznała brak upowszechnienia oświaty wśród klasy robotniczej i domagała się zapewnienia tym warstwom odpowiedniego poziomu edukacji. Natomiast według publicysty „Gazety Codziennej” najważniejszą przyczyną rozruchów jest doświadczenie przez robotników nierówności społecznej. A to już grozi rewolucją. „Przesilenie społeczne w którym żyjemy, i w którym cała Europa jest pogrążona – pisze autor studium – wynika prosto z [...] ruchu klas niższych, sięgających do opanowania władzy i bogactwa klas wyższych”. Jako antidotum na choroby epoki przemysłowej proponuje trójstopniowy program działania zawierający się w trzech punktach: dobry byt – moralność – oświata. To filary, na których wspierać się powinna godna egzystencja robotnika. Pierwszym krokiem ma być zapewnienie mu dostatecznego wynagrodzenia i godziwych warunków życia, drugim zadbanie o jego duchowy rozwój i świadomość etyczną, a trzecim – zaprowadzenie powszechnej edukacji. Tą drogą – postuluje dziennik – powinna iść nie tylko Anglia, ale i cała Europa, która nieuchronnie podąża jej śladami, a więc jak łatwo przewidzieć, wkrótce i ona borykać się będzie z tymi samymi problemami.

### Proroczy głos „Gazety Codziennej”

Cztery lata po ukazaniu się w „Gazecie Codziennej” tego wnikliwego studium socjologicznego w Anglii nasiliły się negatywne zjawiska społeczne. Dziennik przekazywał wszystkie niepokojące sygnały docierające z Wysp Brytyjskich o pogarszającej się wciąż sytuacji robotników. Komentował również dyskusje na ten temat podejmowane przez angielski parlament. Na jednym z posiedzeń, jak donosiła „Gazeta Codzienna z 1844 r., lord Ashley wystąpił jako gorliwy obrońca uciśnionych robotników, domagając się zmniejszenia czasu pracy w fabrykach i przedstawiając poruszające fakty i dane statystyczne:

„[...] jeszcze w r. 1818 liczba wszystkich robotników obojej płci i wszelkiego wieku w fabrykach [...] wynosiła tylko 57 328, a w r. 1839 podniosła się do 419 519, pomiędzy którymi 192 880 dzieci. Zamieniwszy poruszenie wrzecion na mile angielskie, tedy robota tych biednych ludzi równa się co dzień 20–30 milom angielskim. Skutkami [...] są: kaszel, cierpienia płucne, suchoty,



Widok XIX-wiecznego Paryża

skrofuły, osłabienie wzroku, ułomności ciała i wczesna śmierć. Fabrykanci lubią najwięcej zatrudniać młodych robotników i robotnice, tak że już 40-letni ludzie są oddaleni, na nędzę wystawiani i pod względem utrzymania swego muszą oglądać się jedynie na zarobek swych żon i dzieci. Tym sposobem naturalny porządek zupełnie jest przewrócony” („GC” 10 IV 1844, nr 96).

W kontekście tej wypowiedzi głos „Gazety Codziennej” z 1840 r. okazał się proroczy, a proponowany program naprawczy wciąż aktualny i gotowy do wcielenia w życie.

IV

## Francja – o tajemnicach Paryża i fabrykach w Saint-Étienne

W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii uznawanej przez Polaków za cywilizacyjne centrum świata i symbol nowoczesności, Francja stała się ucieleśnieniem zmian zachodzących w ludzkiej świadomości, obyczajowości i polityce.

**T**akim doskonałym polem obserwacji socjologicznej stał się Paryż, w którym jak w soczewce skupiały się wszystkie zjawiska charakterystyczne dla nowej cywilizacji przemysłowej i technicznej. „Niewątpliwie miały na to wpływ – pisze badacz epoki Tomasz Kitzwalter – zarówno częstsze, niż to bywało w przypadku Anglii, podróże, kontakty osobiste, jak i popularna literatura francuska (»Tajemnice Paryża« Eugeniusza Suego), która przybliżała w szczególny sposób właśnie stolicę francuskiej metropolii. Była to zarazem stolica Rewolucji i ten czynnik ważył niemało przy ocenach francuskiej metropolii”.

Nareszcie człowiek przemieniony w bydlę, wprzęga się na powrót w tygodniowe jarzmo i tak pędzi dni życia, dopóki nie umrze”. Te następstwa podziału pracy przewidział już Adam Smith, twórca ekonomii politycznej, zapowiadając nastanie takiej epoki, w której nad człowiekiem zatriumfuje materia, a on koncentrować będzie całą swą siłę i zręczność na wyrobie prostych materialnych przedmiotów. W konsekwencji takiego działania, jak stwierdza autor studium, „żaden pomysł nie może powstawać w głowie człowieka, który 350 dni w roku a 2000 razy w dniu ucinął nitkę, obracał szpulkę, albo rozplatał przedzę”, podkreślając za Smithem, że „rękodzielnicy w ogóle nie mają sposobności rozwinięcia pojęć umysłowych, nie mają czasu myśleć i to ich robi ciemnymi i osłupiałymi. Niedołężność ich rozumu nie pozwala im nie tylko zastanawiać się nad





## Mroczne strony paryskiego życia

W „Gazecie Codziennej”, obok entuzjastycznych opinii wyrażających zachwyt nowoczesnym Paryżem („GC” 12 I 1851, nr 10), pojawiają się wypowiedzi, w których brzmi już wyraźnie ton dezaprobaty dla negatywnych skutków postępu („GP” 8 II 1862, nr 31) i jego destrukcyjnego wpływu na jednostkę ludzką. Jednym z najciekawszych świadectw ambiwalentnej oceny francuskiej stolicy jest reportaż z Paryża zamieszczony w „Gazecie Polskiej” z 1862 r. Najpierw naszym oczom ukaże się olśniewające swym pięknem miasto, przypominające raczej olbrzymią willę, „w której dwumilionowa prawie ludność rozgasa się po wspaniałych gmachach, po świeżo wystrójonych domach, wśród ogrodów, rynkowych kwiatników, placów, przechadzek, w nieskończoność wyciągniętych szerokich ulic. Istna stolica arcydzieł sztuki, zbytku, pomyślności, wszechstronnego dobrobytu”. To pierwsze wrażenie, jakie miasto czyni na przybyszach. Ale jest jeszcze inna strona Paryża, mniej znana. To drugie, mroczne oblicze stolicy Francji, które mógłby odsłonić przed cudzoziemcem jedynie biegły przewodnik, „jeden z tych ludzi, dla których Paryż, w najskrytszych swoich szczegółach nie ma tajemnic. Wnet obraz zyskałby na odcieniach – przekonuje nasz korespondent – jaskrawe i ponętne barwy ustąpiłyby trochę miejsca posępny kolorom. Uchyłona ze złotogłowi kotara odkrywałaby, tu i ówdzie, ciemne zaułki, straszne rojowiska nędzy, objawy dotkliwych społecznych ran, klęsk, nieszczęść i niewypowiedzianych cierpień. Nie wszystko złoto, co się błyszczy. W stolicy tej wykwit, przepychu i wygórowanej oświaty, nie jeden szczegół uderzyłby barbarzyństwem godnym dzikich, od dawna upłynionych wieków”. Reporter „Gazety Polskiej” wnika w ciemne rewiry paryskiego życia, przywołując jako przykład degeneracji moralnej głośny wówczas przypadek kryminalny, który miał świadczyć o tym, że „pod pokrywą bezpieczeństwa tego, porządku, ładu, oświaty, tlą się tu i ówdzie iskry morderczych chuci, drapieżnych instynktów, gorzej niż zwierzęcych w ludziach namiętności”. Otóż pewien wyrobnik nazwiskiem Dumolard, z pochodzenia Włoch, którego ojciec za popełnione przestępstwa półwartowany został niegdyś w Padwie, uprawiał w okolicach Paryża przez lata zbrodniczy proceder. Nastrecał dziewczętom służbę w miejscach oddalonych od domostw, by potem na odludziu móc je mordować i ograbić ze wszystkiego, co posiadały: „Tu Dumolard przystępował nagle do dzieła. Zarzucał towarzysze stryczek na szyję, dławił ją, mordował, grzebał martwą lub na pół żywą, jak się zdarzało, po czym zagrabszone manatki unosił i krył się w swojej siedzibie [...]. Obecnie, sąd zajmuje się jego sprawą; przed upływem miesiąca, kat utnie mu głowę”. Tego typu drastyczne przypadki bestialstwa i niskich in-



Kobiety pracujące w łódzkiej fabryce

stynktów tkwiących w człowieku nie należały w Paryżu do rzadkości. Trzeba było koniecznie zastanowić się nad metodami przeciwdziałania złu, bo przecież świat po rewolucji przemysłowej powinien otwierać się na potrzeby i rozwój duchowy człowieka.

## Człowiek „świdrem, młotkiem i nic więcej”

„Gazetę Codzienną” intrygował nie tylko Paryż, lecz także francuskie ośrodki przemysłowe, które pozwalały poczynić obserwacje socjologiczne dotyczące przebiegu procesu industrializacji i ocenić jego skutki. Dziennik z 1859 r. (nr 216) przenosi nas do Saint-Étienne słynącego ze swych fabryk: „O dwie godziny koleją od Lyonu, w górzystej okolicy, która obfitością węgla przypomina Górny Śląsk albo Belgię, w ciasnym taldzie góry przysiadło miasto Saint-Étienne. Wzdłuż od końca do końca, rozwlekła się tu długa, jedyna, można powiedzieć, ulica: ulicę, niby kolosalne wrota, zamykają dwie poprzeczne gór ściany. Na szczycie jednej, tam gdzie by wcale ładnie wyglądał kościółek, albo kaplica z krzyżem, stoi wysoki, rudy komin fabryczny: od czoła splywa mu ciemna, długa dymu szmata. Jaka chorągiew, taki i obóz cały [...]. Trudno spotkać miasto więcej zakopcone, zasmolone – na tym tle dymu i sadzy tu i ówdzie domy świeżo bielone wyglądają jak białe blejwasy plamy”.

Korespondent „Gazety Codziennej” wtajemnicza czytelników w arkana produkcji tekstyliów i broni, znanych na całym świecie wyrobów z Saint-Étienne. I tak na przykład zaglądamy do tutejszej fabryki wstążek, która korzystała z jedwabiu sprowadzanego z Chin przez bogatych przedsiębiorców. Dziennikarza ciekawi tu wszystko, a szczególnie mechanizm produkcji i budowa urządzeń fabrycznych. Oto zatrzymuje się i zachwyca doskonałością maszyny wytwarzającej wstążki: „Uciecha jest patrzeć do jakiej te swawolne niteczki jedwabiu człowiek przyprowadził zmyślności. Nigdy żadna się nie zapomni, nie zamyśli, nie spóźni. Jakby w najtrudniejszej figurze lansjera, każda wie zawsze, gdzie stanąć, gdzie się skłonić, a gdzie na drugą stronę prześlizgnąć”. Lecz podziw dla maszyny ustępuje wkrótce miejsca głębszej refleksji. Ton wypowiedzi publicysty zmienia się, gdy w polu zainteresowania znajdzie się człowiek obsługujący współczesne wytwory techniki. Okazuje się, że jego ogromny wysiłek jest niewspółmierny do wynagrodzenia ledwie starczającego na przeżycie: „Warsztat Jacquart poruszają ręce tkacza, który pcha przed sobą długą poręcz, z obu końców o dwa koła zahaczoną. Robota ta dla oka piękna, ale dla rąk ciężka i żmudna. Pytaliśmy się, co zarabiają ci zgrabni na jedwabiu rysownicy, odpowiedziano nam, że mogą żyć ze swojej pracy i nic więcej”. Praca

zaś w fabryce broni w Saint-Étienne nasuwa uważnemu obserwatorowi analogiczne skojarzenia i przemyslenia, które wysnuł już autor artykułu „O wychowaniu przemysłowym w Anglii”: człowiek w procesie produkcji staje się sam „automatem, pilnikiem, świdrem, młotkiem i nic więcej”.

W „Gazecie Codziennej” trudno więc znaleźć artykuły, które w sposób wyłącznie entuzjastyczny oceniałyby rozwój cywilizacji Zachodu. Przeważają opinie raczej o charakterze ambiwalentnym – z jednej strony gloryfikujące postęp, z drugiej zaś uzmysławiające zagrożenia, jakie niesie on dla jednostki i społeczeństwa. Tak na przykład według „Gazety Polskiej” Wielka Brytania stanowiła „najdziwniejszą mieszaninę przesądów i postępu”, bo „geniusz Anglii zarówno kocha cywilizujące nowości, jak przedpotopowe zwyczaje” („GP” 9 VII 1862, nr 154). We Francji natomiast, chociaż wyrosły wspaniałe gmachy w Lyonie i Marsylii, to miasta te „kościółków prawie nie mają”, co rodzi pytanie: „czyżby wiek XIX takie tylko po sobie zostawił pomniki?” („GC” 1859, nr 218).



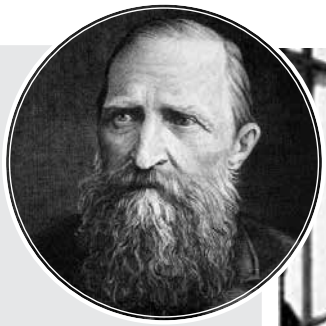
## Nowoczesność przed sądem Polaków

Polacy nie tylko ze wzmożoną ciekawością, lecz także ze wzrastającym niepokojem śledzili za pośrednictwem „Gazety Codziennej”, jak w zastraszającym tempie zmienia się oblicze świata i jak na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych rośnie nowa cywilizacja techniczna.

**P**ostęp dokonujący się na niespotykaną dotąd skalę w każdej niemal dziedzinie życia wywoływał u jednych entuzjazm, a u innych lęk. W każdym razie zgadzano się co do tego, że pochod nowoczesności dotrze również na ziemię polskie.



Ekspancja nowoczesności według Ignacego Kraszewskiego stawała się zagrożeniem dla narodowego ducha. My, Polacy, pozbawieni państwa – tak rozumował wielki pisarz – możemy jedynie poprzez swe życie duchowe ocalić swą polskość. Gdy zaś staniemy się sługami nowoczesnej cywilizacji, wygodne i dostatnie życie uczyni nas obojętnymi na los ojczyzny. Ekonomia i płynące z niej zyski przysłonią nam prawdziwy cel naszej egzystencji, odbiorą to, co najcenniejsze, a czego nie da się przeliczyć na pieniądze. Kraszewski zdawał się widzieć więcej niż jego współcześni. Wiedział, że postęp może okazać się destrukcyjny dla idei polskości: „Zyska kraj na gospodarstwie i przemyśle, ale my dla tej odrobiny zarobku wyrzekniemy się siebie i za lat sto nikt nas od Żydów, od Niemców i od całej rzeszy handlarskiej kosmopolitów nie pozna. [...] Mamyż się radować postępowi, który nam życie wydziera i przeistacza na mały Zachód?”. Niebezpieczeństwo stawało się coraz bardziej realne wraz z napływem niemieckich osadników, którzy tworzyli na ziemiach rdzennie polskich – na Pomorzu, w Poznańskim i na Śląsku – obce enklawy nowoczesności. Był to niewątpliwie akt przemocy cywilizacyjnej.



Praca w dziewiętnastowiecznej fabryce czekolady w Raciborzu

wodzi, że można być najlepszym gospodarzem, agronome, spekulantem, przemysłowcem a najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioty, które z sobą nigdy w parze chodzić nie będą”. Pojawia się zatem sugestia, że sfery materii i ducha wzajemnie się wykluczają i należy podjąć decyzję, którą drogą podążać – czy budować cywilizację wspartą na materializmie, czy na wartościach chrześcijańskich. Kraszewski dokonuje jednoznacznego wyboru: „Uczmy się oszczędzać i patrzeć jutra, ulepszać i ład szczepić, ale nie pomiatajmy uczuciem, poezją, nie przerabiamy kraju na kantor i fabrykę, bo wkrótce nam w nim na kościół i krzyż miejsca nie stanie”.

„Choroby wieku” Kraszewskiego wywołały burzliwą dyskusję nad procesem modernizacji, której istotę odsłania współcześnie w swej książce „Nowatorstwo i rutyna” Tomasz Kizwalter, dokonując przeglądu głosów i stanowisk dziewiętnastowiecznych entuzjastów i sceptyków postępu. Tak na przykład Andrzej Zamoyski, zagorzały zwolennik zasad liberalnej ekonomii politycznej, twierdził, że wspierają się one na prawdach religijnych, a Tomasz Potocki głosił, że „ekonomiczne i społeczne idee zachodniego liberalizmu są ucieleśnieniem wartości chrześcijańskich”. Wynikałoby z tego, że postęp materialny i duchowy współistnieją harmonijnie, a konflikt między „Ewangelią a ekonomią” nie istnieje. Z kolei Ludwik Górski, polemizując z powieścią Kraszewskiego, bronił postępu, który sam w sobie nie jest materializmem, ale patroluje mu idea „wypełniania pracowitego obowiązku, używania [...] dla dobra swego i bliźnich darów od Boga udzielonych. Lecz bez tego celu, bez tej pobudki przemysłowość spada do poziomu najniższego materializmu”. W tym kontekście rozwój gospodarczy jest zjawiskiem pozytywnym pod warunkiem, że uszlachetnia go „cel wyższy” wspierający się na ideałach chrześcijańskich.

## Cywilizację oprzeć na moralnym rozwoju

Momentem zwrotnym w dyskusji nad wpływem przeobrażeń cywilizacyjnych na życie narodu było objęcie przez Kraszewskiego w 1859 r. stanowiska redaktora naczelnego „Gazety Codziennej”. Jej właścicielem był wówczas Leopold Kronenberg – warszawski milioner, wielki finansista i przedsiębiorca, którego śmiało można by uznać za człowieka nowoczesności. Kronenbergowska „Gazeta Codzienna” stała się wielką propagatorką postępu, zwracając się do polskiego społeczeństwa z następującym przesłaniem: „Ubożejemy ciągle, gdy na Zachodzie coraz więcej się bogacą. Gardzimy materializmem, gardzimy pieniędzmi, ale pamiętajmy, że nasza moralna istota rozwijać się ni działać nie może jeżeli ta ziemska, materialna jej skorupa nie ma zaspokojonych swych potrzeb codziennych. [...] Najpotężniejsze narody na świecie są te, które są najbogatsze. A jeżeli tak daleko ubożać będziemy, to nasze wnuki będą sługami tych, co się bogacą i kłaniać się będą w forcymerach swoim panom, którzy nabędą ziemie nasze”.

Kraszewski, obejmując redakcję pisma, przeszedł już pewną ewolucję światopoglądową – nie odrzucał całkowicie postępu, lecz dopuszczał go pod pewnymi warunkami. Wpływ na poglądy pisarza z lat 50. miała nie-

wątpliwie jego podróż na Zachód, podczas której mógł z autopsji poznać realia krajów wysoko rozwiniętych. Teraz wychodził z założenia, że skoro postęp jest nieunikniony, należy zrobić wszystko, by materializm nie zdominował sfery ducha. Dlatego, stając u steru „Gazety Codziennej”, zamieszczał na jej łamach wypowiedzi programowe, które współtworzyć miały polski etos pracy oraz model polskiej cywilizacji – wspierającej się silnie na tradycji i jednocześnie otwierającej się na nowoczesność („GC” 1859, nr 219, 236, 267). Głosił m.in., że praca ma wymiar duchowy: „Wszelka praca, nawet materialna, rodzi się z ducha, duchem utrzymuje i musi mieć cele duchowe”. Tak samo życie narodu wznosi się na fundamentach ducha, jego prawdziwą siłą jest rozwój moralny, a nie materialny i te same prawa odnoszą się do istnienia każdej cywilizacji: „Cywilizacja nie oparta na moralnym rozwoju, przy największej potędze materialnej zaród śmierci ma w sobie. Jeżeli w łonie narodu nie ma idei zacnej, wzniosłej, świętej, zasad boskich i naziemskich, największa siła materialna nie powstrzyma dezorganizacji i upadku”.

## „Ducha nie gaście”

Kraszewski, pisząc te słowa, miał też na myśli współczesne sobie kraje, w których upatrywał już pewnych załączków przyszłego rozkładu cywilizacyjnego, gdyż prym nad duchem wzięła w nich materia. W jego przekonaniu nieludzka polityka kolonialna Wielkiej Brytanii była dowodem upadku moralnego społeczeństwa angielskiego, o czym pisał teraz w dzienniku, a wcześniej już w Chorobach wieku: „Widzimy dziś na Anglii przykład stanu, który za wzór stawić trudno; kwitnie handel i przemysł, ale płacze uciśniona Irlandia, a Indie nawraca John Bull nie apostołstwem, ale mordami i pożogą”. Natomiast młode państwo amerykańskie, choć dynamicznie się rozwijające, nie posiadało według niego własnych podstaw rozwoju duchowego, o czym świadczyły niepokojące zjawiska niewolnictwa i linczu, pisał więc: „czekamy ducha, co by to ciało ożywił”. Zastanawiające jest to, że prognoza Kraszewskiego zawiera już w sobie myśl właściwą dla XX-wiecznej krytyki cywilizacji Zachodu dokonanej przez Oswalda Spenglera, który zapowiadał, że jej zenit jest jednocześnie jej końcem.

Kraszewski w „Gazecie Codziennej” występował jako moralista i patriota zarazem, który pragnął uchronić swój naród przed zgubnymi konsekwencjami postępu, apelując do rodaków, by szli z duchem czasu, ale pozostali wierni polskiej tradycji, religii, wielkiej przeszłości i na tych wartościach dopiero wznosili fundamenty nowoczesności: „Powtarzałem więc i powtarzam – ducha nie gaście, wołając, byśmy nie ziemczeli, oddając się przemysłowi, handlowi, spekulacjom i formułkom obcym, bo u nas z własnego gruntu lepsza przyszłość wytrysnąć powinna”.

## „Nie przerabiamy kraju na kantor i fabrykę”

Wielką dyskusję nad nowoczesnością na rodzimym gruncie zainicjował przyszły redaktor „Gazety Codziennej” – Józef Ignacy Kraszewski – jako autor książki „Choroby wieku. Studium patologiczne” (1854). W istocie jest to powieść-pamflet na postęp cywilizacyjny, dzieło gorzkie w swej wymowie i przesiąknięte głębokim pesymizmem. „Cywilizacja terazniejsza zaślepia nas – pisze Kraszewski – nie dając rozpoznać granicy, gdzie się kończy rozumna zapobiegliwość i postęp rozsądny, a poczyna szala handlarski, spekulacyjny i zupełne zmateriałowanie ludzkości”. Bohaterem, który uległ niebezpiecznemu pędowi ku nowoczesności w „Chorobach wieku” jest postępowy gospodarz Jan Dembor – właściciel świetnie prosperującego majątku ziemskiego w Porzeczcu. Cóż jednak z tego, skoro to homo oeconomicus – człowiek nastawiony jedynie na zaspokojenie potrzeb materialnych. W jego nowoczesnym świecie nie ma miejsca na ludzkie gęsty, odruchy serca, szlachetne uczucia. Liczy się tylko ekonomia i zysk. Toteż Kraszewski swojego bohatera skazuje na życiową klęskę. Jego upadek jest przesądzony – zostaje bankrutem, padając ofiarą bezwzględniego spekulanta. Obserwacja rzeczywistości zachodnioeuropejskiej rodzi poważne obawy pisarza w związku z groźbą materializmu, który wyzwala w człowieku prymitywną żądzę posiadania i niszczy właściwe relacje społeczne. Cywilizacja wyżyta podstaw etycznych pozbawia jednostkę tożsamości, wewnętrznej wolności i odziera z godności ludzkiej. „Wolałbym z lichym dawne ubóstwo nasze, trochę nawet starego nieładu – wyznaje Kraszewski – a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a silniejsze uczucia. – Niech mi nikt nie do-